

Wąż Kwan Yin

- Maria Dermoût

Dwie kobiety stały po obu stronach hibiskusowego żywopłotu, który oddzielał od siebie przydomowe ogrody, ponure i gęsto zadrzewione. Żywopłot ozdobiony był niezliczoną ilością pojedynczych, delikatnych kwiatowych kielichów w kolorze róży i w świetle poranka mienił się zielenią. Po jednej stronie – młoda blondynka, nieco wysuszona i wychudzona, ubrana w długą białą poranną suknię, w pończochach oraz butach na wysokim obcasie, starannie uczesana, i to o tak wczesnej porze! Po drugiej zaś chuda jak patyk stara Metyska; czy aby nie była to Chinka? Mogły na to wskazywać jej nieco skośne, czarne oczy przypominające korale. Miała na sobie kompletnie znoszony batikowy sarong¹ oraz toporną kabaję² z białej bawełny, bez koronek, spiętą agrafami; była bosa. Jej wyblakłe, czarne włosy gładko zaczesane do tyłu spinał mały kok.

Młoda kobieta, z trudem łapiąc oddech, wyrzuciła z siebie:

– Wąż! Czy to nie oznacza nieszczęścia? Proszę powiedzieć, ale szczerze! Boję się!

Stara odparła:

– Eh, co tam wąż! Przecież ty ciągle się boisz!

W istocie, tak było. Młoda kobieta czasami sama buntowała się przeciwko wszystkim swoim lękom, a teraz doszedł do nich jeszcze nowy strach przed węzami!

Dotychczas nie widziała ich zbyt wiele, kilka razy mignęły jej zaledwie w mokrym, ciemnym ogrodzie za domem, uciekając do rzeki, która przepływała nieopodal. Myśli o węzach zaczęły ją jednak prześladować na jawie i we śnie. A wczoraj wieczorem jeden z nich w ciemności, po cichu, wpełznął do domu, jadowity, dorosły wąż, czarny, z białymi pierścieniami, wślizgnął się do pokoju, gdzie spało jej najmłodsze, ukochane dziecko, tak wątle, że – zdaniem doktora – zawsze będzie wymagało szczególnej troski. Węża zabito i nie wiedziała, co gorsze – widok żywego, sunącego po podłodze czy też martwego, wiotko zwisającego z kija, któremu z pyska kapała gęsta, biała ciecz. Kazała go wyrzucić.

– Nie do rzeki! Tam znowu odżyje – poradziła służba.

¹ sarong - dosł. „przykrycie, „pochwa”; rodzaj spódnicy powstającej przez owinięcie wokół bioder prostokąta tkaniny, noszony zarówno przez mężczyzn jak i kobiety.

² kabaja - (kebaja, malaj.) - żakiet damski noszony w domu do sarongu.

Waż, czy to aby nie jakiś znak? W pokoju dziecka? Cóż by zrobiła, gdyby umarło? Nie przeżyłaby tego. Wiedziała dobrze, że to ją wyniszcza: wszystko przez ten kraj, kraj pełen węży, kraj, którego nienawidziła; tutaj zachorowała. Kto ją wyleczy?

W sąsiednim domu mieszkała duża indyjska rodzina z liczną gromadką małych dzieci; jeden z maleńkich pokoi dla służby, jeszcze za przybudówkami, w pobliżu rzeki, zajmowała stara kobieta, babcia Nènè. Pod małym zadaszeniem wieńczącym pokoi i na rosnących wokół drzewach wisiało mnóstwo bambusowych klatek ze wszystkimi jej ptakami. Wśród nich – ulubieniec staruszki – gwarek o czarnych, błyszczących piórkach i jasnopomarańczowym dziobie; zajmowała się nim przez cały dzień. Czyściła jego klatkę, kąpała go, karmiła, brała na kolana i swoją wysłużoną obrączką – jedynym złotem, jakie posiadała – pocierała jego dziób, dzięki czemu potrafił tak pięknie mówić i gwizdać piosenki! Pewnego razu, zniecierpliwiony jej zabiegami, skrzeknął ze złości i dziobnął kobietę w rękę, lecz ona powiedziała tylko: „Jak możesz, Beo³!”.

Służba sąsiadów przynosiła jej talerzyk z jedzeniem i filiżankę kawy, ale poza tym nikt się o nią nie troszczył. Z czasem, ponieważ stara kobieta żyła z dala od świata i niejako sama dla siebie, a druga – „z sąsiedztwa” – w głębi duszy była wstydliva, zawiązała się między nimi swoista przyjaźń przez hibiskusowy żywopłot.

Młoda kobieta wcześniej nie spotkała kogoś takiego: staruszkę wyróżniał już sam nieudolny język, nigdy bowiem nie rozmawiała z nią po malajsku, a jedynie swoim łamanym holenderskim, zamieniając *g* na *h* i *h* na *g*⁴, podkreślając ‘ty’ i ‘twoje’ oraz błędnie akcentując; wyróżniały ją anegdotki, mądre rady, nadzwyczaj długie opowieści o duchach i upiorach, opowiadane szeptem przez kwiatowy żywopłot. Gdyż, podobnie jak każdy, kto mało mówi, raz już zacząwszy, nie potrafiła przestać.

Na początku młoda kobieta myślała, że powinna jej współczuć, teraz zrozumiała – to nie ona miała coś do zaoferowania, ale ta stara, nadzwyczaj spokojna, odważna i skłonna do akceptacji, do pogodzenia się ze wszystkim kobieta dawała jej coś za każdym razem. Nie musiała jej niczego opowiadać ani wyjaśniać; stara zawsze dokładnie wiedziała, co się wydarzyło i miała na ten temat własne zdanie. Także tego poranka, po pamiętnym wieczorze, gdy złapano węża, stała już gotowa, oczekując jej przy żywopłocie.

³ Beo – w języku niderlandzkim: gwarek. Tu: również jako imię ptaka.

⁴ „g” i „h” - w języku niderlandzkim *g* wymawiane jest dźwięcznie, *h* natomiast bezdźwięcznie.

– Ach, co tam waż! – powiedziała. – Przecież ty ciągle się boisz. Czy nènè ma z tobą porozmawiać? Dobrze wiesz, nie zawsze może być dobrze, są i nieszczęścia, a potem znowu trochę dobrze, nigdy nie trwać długo – potrząsnęła głową – lęk nie pomoże. A skoro tak bardzo się boisz, powinnaś iść do wróżbity, lepiej wiedzieć! Nènè już taka stara, też dużo nieszczęścia, wiele zapomnieć; mój mąż zawsze dobry dla mnie, a potem nagle martwy!

Zamilkła na chwilę, zamknęła oczy i spod jej powiek po brązowych, pomarszczonych policzkach spłynęło kilka kropel łez. Westchnęła, pociągnęła nosem i ponownie otworzyła oczy.

– Nènè już tak dużo płakać, niewiele pomaga – zawahała się.

Czy powinna wspomnieć o swoich zmarłych dzieciach, o wnukach, także już dorosłych, które mieszkają w tym domu, wstydzą się jej i wcale się o nią nie troszczą? O prawnukach, którym nie wolno nawet odwiedzić jej tutaj, za ogrodem? O samotności? Ubóstwie? Nigdy się nie skarżyła, teraz też tego nie robi; uśmiech niczym grymas wykrzywił jej twarz:

– Wystarczy, że coś lubimy albo bardzo kochamy, niekoniecznie to musi być mężczyzna, kobieta, dziecko, twój ojciec, matka, czy inna osoba, równie dobrze zwierzę, ładna muzyka, czytanie książki, chodzenie po górach, zwyczajne wałęsanie się wzdłuż drogi albo codzienna praca! Jeżeli tylko coś lubisz, to wszystko w porządku!

Głęboko osadzone, skośne oczy zajaśniały znowu dawnym blaskiem:

– Nènè już taka stara i kochać wiele swoich ptaków; Beo taki kochany dla mnie!

Słowo „kochany” zaakcentowała gwałtownie, pochylając do przodu głowę.

Młoda kobieta stała zasłuchana po drugiej stronie żywopłotu.

Spotkanie jak zwykle uspokajało ją i uprzyjemniało czas.

Ale nagle stara wróciła do tematu wróżbity:

– Czy zrobisz to, co mówi Nènè?

Podeszła nieco bliżej do żywopłotu i pokiwała znacząco palcem.

– Dobrze słuchać i nie opowiadać w domu! Weźmiesz twój samochód, bez dzieci, powiesz „dolne miasto”, a kiedy się tam znajdziecie – „klèntèng”. Szofer będzie wiedział, klèntèng to chiński kościół, zawsze otwarty, taki piękny, pełen lamp, tam mieszka wieweelka Kwan Yin! – Wskazała palcem na coś znajdującego się w górze, między drzewami, ponad jej głową. – Oczywiście znasz Kwan Yin?

A kiedy młoda kobieta przytaknęła, kontynuowała:

– Jest także kapłan, ty mu dać trochę pieniędzy, nie musi być dużo, i powiedzcie: „Chcę rozmawiać z wężem Kwan Yin”.

Ostatnie słowa wymówiła zmienionym, obcym falsetem.

Młoda kobieta zrobiła gwałtowny krok do tyłu.

– Co? – zapytała. – Co pani ma na myśli?

– Pod Kwan Yin jest duża dziura w podłodze, ciemna, tam mieszka jej wąż, piękny wąż, taki gładki i zielony.

Niemalże ugrzęzła w tych wszystkich dźwięcznych spółgłoskach.

Młoda kobieta cofnęła się jeszcze bardziej.

– Boję się węży, dobrze pani o tym wie! – fuknęła głośno i wrogo.

– Ach – westchnęła stara, potrząsając głową – naturalnie boisz się głupiego węża, chciał ukąsić twoje dzieci; a wąż Kwan Yin nie głupi, lecz mądry, tak mówi zresztą sama Biblia! On tobie powie, czy pomyślność, czy nieszczęście, przecież lepiej wiedzieć!

– Więc ten wąż potrafi też mówić? – spytała pogardliwie młoda kobieta.

– Ach, oczywiście, że nie, ale kapłan przecież potrafi! On wołać węża.

Stara kobieta wykonała takich ruch, jakby naśladowała kogoś, kto pochyla się do przodu i wyciągniętymi rękoma niemal dotknęła ziemi.

– Wąż przyjdź i wpełznąć mu na ramiona, a potem siedzieć prosto.

Wyprostowała się, zgięła w łokciu prawą, zeszywniała rękę, wyprężyła ramię, a jej złączone w górze dłonie miały imitować głowę gada.

– W ten sposób – oznajmiła – a potem ruszać się, w lewo – w prawo, w prawo – w lewo, a kapłan mówić; Nènè nie wie. Nènè tylko myśli, że lewo to dobrze, prawo niedobrze, im bardziej na lewo tym lepiej, im bardziej na prawo, tym gorzej. Właśnie tak! - odparła dumna, że dobrze zapamiętała to, co zawsze powtarzał jej mąż. – Nènè nie wie, ale kapłan wiedzieć dobrze, on ci powie, lepiej znać prawdę!

– Boję się węży – powtórzyła młoda kobieta tym samym niechętnym, wrogim tonem. Znowu zamknęła się w sobie, stała blada i nieufna po drugiej stronie żywopłotu.

– Na Allaha! – westchnęła stara. – Nènè nie chce ci przecież zrobić krzywdy.

Ale tamta nie ustępowała.

– Jeżeli nie chcesz słyszeć o wężu, to kapłan ma jeszcze kamienne serce w dwóch kawałkach, ono też mówi „tak” albo „nie” i bardzo dużo łodyżek, które rozrzuca; tyle na lewo, tyle na prawo, ale zostawmy to, skoro nie chcesz.

Jej pomarszczona twarz nagle przybrała przeraźliwie bezradny i smutny wyraz, tylko brązowe zmarszczki kontrastowały ze zdrową zielenią liści i różem kwiatów na żywopłocie.

„To mi nie pomoże” – pomyślała niecierpliwie młoda kobieta. Na początku, kiedy usłyszała: „Jeśli tylko coś lubimy” – rozumiała ją, czuła bliskość starej kobiety. Teraz już nie.

– Nènè znowu iść do Beo – powiedziała tamta. – On jest taki kochany dla mnie!

W jej głosie nie było wyrzutu ani roztkliwiania się nad sobą, jedynie wdzięczność wobec ptaka.

Przez następne dni młoda kobieta pozostała w domu, nie wyszła do ogrodu. Czuła się bardziej niespokojna niż kiedykolwiek wcześniej.

„Sama muszę znaleźć rozwiązanie” – pomyślała. „Przez cudze rady trafiamy tylko z deszczu pod rynnę” i: „Nie pójde, przecież tam, nie pójde”.

Co wieczór przetrząsała ze służbą cały dom w poszukiwaniu węża, zaglądając we wszystkie kąty i dziury, lecz nigdy żadnego nie znalazła. W nocy dręczyły ją koszmary, zawsze o wężu. Wreszcie pewnego dnia, pod wieczór, kiedy najmłodsze dziecko już spało, stwierdziła nagle i zdecydowanie: „No dobrze, w takim razie pójde.”

Kazała przywołać szofera i przyprowadzić samochód. Męża nie było w domu.

– Możemy pojechać z tobą? – zapytały chórem starsze dzieci.

– Nie – odparła krótko.

– A dokąd jedziesz?

– Donikąd.

Zdumione spojrzały po sobie.

Usiadła na tylnym siedzeniu.

– Skręć w lewo – powiedziała, a kiedy dotarli do drogi, dodała – dolne miasto.

– A dokąd w dolnym mieście? – zapytał szofer.

– Dolne miasto – powtórzyła. Była tak podekscytowana, że cała zdawała się drżeć i z wielkim trudem zdołała wysiedzieć na miejscu. Kiedy dojechali do dolnego miasta, oznajmiła:

– Klèntèng.

Szofer niepostrzeżenie wzruszył ramionami; jechali wzdłuż małych kanałów i ulic zamieszkałych przez masę Chińczyków. Samochód zatrzymał się przed dużym domem z obmurowanym przedsionkiem.

– Klèntèng – zakomunikował szofer, wskazując kciukiem budynek.

Wysiadła.

W murze zbudowano obszerny westybul, który okalał drzwi wejściowe; próg w otwartej bramie sięgał kolan. Cała snycerka była rzeźbiona, polakierowana na czerwono i pozłacana. Białe ściany po lewej i prawej stronie pokrywało malowidło, głównie sceny nieba i piekła albo tylko piekła, było zbyt ciemno, żeby je odróżnić.

Przekroczywszy wysoki próg, znalazła się na nieosłoniętym dziedzińcu wyłożonym czerwonymi płytami. Gdzieś tam stały donice z kwitnącymi drzewkami cytrynowymi. Świątynia była otwarta; troje dużych drzwi usytuowanych tuż obok siebie, przez które wpadało do środka światło. Szybko podeszła bliżej i zamarła przy wejściu; świątynia przyjmowała ją ciszą wieczoru przesyconą światłem, kadzidłami i modlitwą, całą swoją czerwienią i złotem.

Na wąskim, wysokim stole ofiarnym stały dary: kosze z owocami, kwiatami, seledynowe półmiski wypełnione popiołem, w którym tkwiły pojedyncze kadzidełka; oszlifowane kryształowe mise ze złotożółtym olejem i zapalonymi knotami oraz świece. Całość była tak niezwykle kolorowa i zadbana, że sprawiała wrażenie, jakby wszystkie ziemskie dobra zostały zgromadzone właśnie w tym miejscu ku czci uśmiechającej się bogini, która w głębi świątyni siedziała na poduszce z lotosu, niemal całkowicie pogrążona w ciemności.

Była olbrzymia, swoimi rozmiarami znacznie przewyższała ludzki wzrost. Spowijały ją szerokie fałdy szat, a owalna, polakierowana na płomiennoczerwony kolor twarz pochylała się lekko do przodu; lakier – wysoko od policzków aż po oczy oraz przy kącikach ust – pokrywała cienka warstwa złota, co sprawiało wrażenie uśmiechu, zastygłego uśmiechu samozadowolenia.

Po lewej i prawej stronie stali dwaj groźni strażnicy, jeden czerwony, drugi złoty.

„Jest stanowczo za duża” – pomyślała młoda kobieta i od razu poczuła do niej antypatię.

W tej samej chwili dostrzegła gładko wygolonego kapłana, który stał przed boginią. Miał na sobie żółty kaftan z szerokimi rękawami, narzucony na ubranie. W półmroku sprawiał wrażenie niskiego. Obok niego stała równie mała Chinka, kobieta z

ludu, ubrana w długie, granatowe spodnie i krótki, zapięty wysoko przy szyi kabat; miała mocno spięty koczek, a na czole czarną, gładko przyczesaną grzywkę.

Teraz kapłan powinien się pochylić i przywołać węża; młoda kobieta przygryzła wargi, chciała uciec i sama powstrzymywała się przed tym, mocno zaciskając rękę na rzeźbionych drzwiach.

Ale nie, kapłan podniósł wiązkę długich bambusowych łądyżek, oddał pokłon bogini i rzucił je na posadzkę z czerwonego kamienia; upadły z łoskotem. Potem pochylił się do przodu, wewnętrzną częścią dłoni rozdzielił łądyżki od środka na lewą i prawą stronę, uniósł je, zdawał się liczyć, złożył pokłon bogini i przemówił do kobiety. Słuchała go zachłannie, ale kiedy skończył, potrząsnęła głową, wyglądała na niezadowoloną. Rozmawiali przez chwilę mocno ożywieni. Kobieta złożyła nawet ręce w błagalnym geście, jakby powtarzała: „proszę pana, proszę pana”.

Dlaczego nie przywoła węża?

Kapłan podniósł z jednego ze stołów ofiarnych szary, kamienny przedmiot – czyżby serce? Ponownie ukłonił się i cisnął nim o ziemię jeszcze mocniej niż łądygami. Rzecz pękła na dwie części. Najwyraźniej stało się tak, jak się miało stać.

Chinka patrzyła uważnie, przez cały czas kiwając głową. Podniósł serce, złożył je, oddał pokłon, położył na miejsce i ponownie przemówił do niej, powoli i poniekąd strofująco.

„Nie przywołał węża” – pomyślała stojąca przy drzwiach młoda kobieta. Widziała, że Chinka kładzie pieniądze i odchodzi. Przeszła tuż obok z tak zachwyconym i jednocześnie tajemniczym uśmiechem na ustach, że ta przez chwilę zapomniała o całym bożym świecie. Błyskawicznie zniknęła jednak w ciemnościach za kwitnącymi drzewkami cytrynowymi.

„Teraz kolej na mnie” – skonstatowała w duchu. Ogarnął ją znowu taki strach, że półprzytomna przebiegła pomiędzy wysokimi stołami ofiarnymi w kierunku kapłana. Ten przywoływał boginię, chodząc w tę i z powrotem i wymachując rękoma, a brudne, żółte rękawy powiewały wokoło. Kiedy młoda kobieta podeszła bliżej, nagle przerwał, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Czy mogę rozmawiać z wężem Kwan Yin?

Wcześniej powiedziała to babcia Nènè, a teraz ktoś – nie ona – powtórzył te słowa.

Kapłan zmierzył ją wzrokiem.

– Z wężem? Nie – odparł – to niemożliwe – i potrząsnął głową. Mówił dobrze po malajsku, nie mogła go źle zrozumieć.

– Niemożliwe? Dlaczego niemożliwe?

– Ponieważ nie ma węża.

Była tak zaskoczona, że patrząc na niego, rozwarła usta.

Czyżby stara z niej zakpiła? Nie.

– Nie ma? Ale przecież był tutaj wąż, prawda?

– Tak, był tutaj wąż.

– W takim razie gdzie jest teraz? Zdechł?

– Nie, nie zdechł, już go tu nie ma.

Zapomniała zupełnie o swoim strachu przed wężem, była tylko zdziwiona, niemal rozczarowana, a także zła.

– Wymknął się? Uciekł?

– Nie, nie uciekł! – kapłan wyglądał na głęboko oburzonego. – Wyruszył w podróż.

– W podróż?

– Tak, w podróż.

– Dokąd?

– W podróż do Chin.

– Do Chin? Jak to możliwe?

– Statkiem, rzecz jasna, w skrzynce. Jest ktoś, kto się o niego troszczy i karmi go w czasie drogi; najpierw do Szanghaju, a później dalej.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– Ponieważ wąż chciał jechać do Chin.

Spojrzała na kapłana; jego gładko ogolona czaszka wieńczyła spokojną, rozumną twarz. Dlaczego łągał w żywe oczy?

– Skąd wiedziałeś, że wąż chce jechać do Chin?

– Przemówił do mnie we śnie – odparł poniekąd uroczyście.

Poczerwieniała ze złości. Przez głowę znowu przemknęła jej myśl: „Dlaczego on to robi? Skoro wąż zdechł albo uciekł, to mógł przecież powiedzieć; przestraszeni i zaniepokojeni ludzie, którzy do niego przychodzą, łatwiej by to zrozumieli niż kłamstwa o podróży do Chin. Czy sam wierzył w to, co mówi?”.

Odwróciła się i ruszyła niepewnie pomiędzy stołami pełnymi darów ofiarnych. Co tu jeszcze robiła?

Tymczasem do świątyni weszły dwie Chinki: matka i młodziutka dziewczyna. Sprawily wrażenie wytwornych, zamożnych kobiet. Obie miały na sobie długie, mocno ściśnięte adamaszkowo-jedwabne tuniki, sięgające od szyi aż do kostek, z długimi rękawami, spięte po bokach, z wycięciem umożliwiającym chodzenie. Matka w czerni przetkanej żółtymi smokami i ozdobionej małymi, złotymi, filigranowymi guzikami; córka w błękitnym adamaszku o odcieniu niezapominajki, z rzędem jasnozielonych guzików z jadeitu. Ich czarne włosy były tak mocno, jak to tylko możliwe zaczesane do tyłu, spięte w koczek czarną siatką i przymocowane szpilkami. Szpilki dziewczyny wykonane z jadeitu, podobnie jak jej okrągłe kolczyki, sprawiały wrażenie, jakby nałożyła na siebie wszystkie posiadane kosztowności.

Młoda kobieta wręcz nie mogła oderwać od nich wzroku; obie były tak piękne. Twarz matki wyglądała wprawdzie na stroskaną i zmęczoną, lecz kogoś równie urzekającego i delikatnego jak to dziecko nigdy wcześniej nie widziała; jednocześnie zauważyła, jak bardzo było blade i wycieńczone, jak chwiejnym szło krokiem, jak sztywna była ręka trzymana przez matkę, która przemawiając nieustannie głębokim, zachęcającym głosem, prowadziła córkę powoli w kierunku kapłana, ku bogini, która przecież jest miłosierna...

Młoda kobieta, nie chcąc przeszkadzać, zeszła im z drogi i ukryła się w jednej z bocznych kaplic. Większość nie była oświetlona; w tej, wysoko u sufitu, wisiał duży lampion z żółtego jedwabiu, w którym paliło się światło. Poniżej na stoliku znowu stała Kwan Yin, nie czerwona i połączana, lecz mała, stara figurka wyciosana z ciemnobrązowego drewna i usadowiona na krzeselku; okrywał ją rozłożysty płaszcz wykonany ze zwykłego arkusza gładkiego, białego papieru spiętego z przodu dużą agrafką. Nadawało to bogini nieco komiczny, domowy i naiwny charakter. Młoda kobieta przystanęła obok, taką boginię mogła polubić; ona pasowała do tego miejsca.

I po chwili poczuła, jakby niepokój, napięcie i lęk nagromadzone w niej przez wiele lat zostały wessane i wchłonięte przez żółte światło lampionu oraz emanację białego, papierowego płaszczyka; jej najmłodsze dziecko, mąż, pozostałe dzieci, wszystkie ich problemy – były jeszcze inne rzeczy; zapomniała też o strachu przed wężami, a nawet o tym niedawnym, błahym, nieprzyjemnym incydencie. Nie pozostało nic; tylko pustka, światło.

Po upływie kolejnych paru chwil ogarnęło ją osobliwe uczucie – czy wywołał je niepewny żółto-biały odblask w tym małym pomieszczeniu, czy kadzidło, a może zmęczenie? – cokolwiek to było, odniosła wrażenie, jakby przez moment, prawie

niedostrzegalnie zakołysała się. Tak nieznacznie, iż nawet nie przyszło jej na myśl, że mogłaby stracić równowagę albo dostać zawrotu głowy; to uczucie nie należało do nieprzyjemnych, w lewo, w prawo, w prawo, w lewo...

Sama była tym niejako zaskoczona; co się z nią działo?

Wówczas zrozumiała; tak jak wąż, w lewo, w prawo, prawie niewidocznie, niczym szala wagi, w prawo, w lewo, prawie w stanie spoczynku. Albowiem prawa i lewa strona są równoważne: prawo lewo, dobrze i niedobrze, tak jak to powiedziała babcia sąsiadów.

Szczęście nieszczęście.

Ciemność światło.

Życie śmierć.

Zło dobro, lewo prawo.

Przeciwności są jednakowo ciężkie i jednakowo lekkie, istnieje równowaga.

I mając tak wielką równowagę jako podstawę jej życie odnalazło spokój. W jednej chwili wszystko wróciło na miejsce: czucie i myślenie, wygląd, jasne włosy, sposób poruszania się, jej głos, niepokój i skłonność do przesady, wrodzona delikatność, a zarazem ludzie i różne rzeczy, wszystko, co знаła, kochała, czego bała się i nienawidziła. I tak musiało być! Wszystko pozostawało ze sobą we wzajemnym związku; nie rozumiała dobrze jak to możliwe, ale też nie próbowała dłużej się nad tym zastanawiać.

To było prawie nieodczuwalne, lecz jej wewnętrzna istota została w tym momencie równie mocno poruszona przez Chinę, która jej samej nie widziała, przez matkę prowadzącą za rękę prześliczną córkę, przez węża, którego nie było, przez kapłana, przez starą babkę sąsiadów oraz najukochańsze dziecko. Dlaczego tak się stało? Nie wiedziała, ale faktycznie tak było. Dzięki temu zyskała poczucie wspólnoty, dotychczas tak mało sobie znane, poczucie przynależności do grupy. Dobrze wiedziała, że problemów nie można rozwiązać – bo czy problemy zostają rozwiązane, czy tylko przemijają? W taki bądź inny sposób ustępują – „nie może trwać długo” – ostrzegała stara kobieta.

Nie było to jednak tak straszne, tak mroczne i dezorientujące, jak jej się wcześniej wydawało.

W tym momencie poczuła się prostym człowiekiem o lekkim sercu i miała zaufanie. Taki stan nie będzie trwał wiecznie, ale jest możliwy, i ta świadomość wystarczała.

Kiedy potem wróciła do świątyni, matki i córki już nie było. Kapłan chodził w tę i z powrotem, zataczając w powietrzu równe koła trzymanymi w dłoniach kadzidełkami. Powstawały tak gęste chmury dymu, że duża, uśmiechnięta twarz Kwan Yin powoli

znikała za nimi. Był bez reszty zatopiony w kontemplacji. O co prosił boginię? O spokojne morze dla węża? O krótkotrwałe szczęście dla kobiety z grzywką? O lekką śmierć dla pięknej dziewczynki? O to, aby matka mogła ją wiecznie kochać? Czy prosił także o coś dla niej?

I o współczucie dla całej cierpiącej ludzkości?

Pomyślała: „Czy powinnam podejść do niego i powiedzieć: Wąż do mnie też przemówił?”.

Nie! Wyjęła z torebki portfel i całą jego zawartość włożyła do miseczki, która stała na jednym z ofiarnych stołów; kapłan będzie mógł sprawić sobie nowy żółty kaftan, tego jej zdaniem potrzebował najbardziej. Nie oglądając się za siebie przeszła przez świątynię i wyszła na zewnątrz, w przedsionku panowała już zupełna ciemność; powoli i uważnie przebiegła między donicami (drzewka cytrynowe pachniały), po czym przekroczyła wysoki próg w bramie wejściowej w westybulu, gdzie na prawo z pewnością było piekło, a na lewo niebo, tak jak być powinno.